

EMILIA BECKER

Baśniowy sptyw



EMILIA BECKER

Baśniowy spływ

© Copyright by Emilia Becker & e-bookowo

Korekta i skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Katarzyna Krzan + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-421-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

Jezioro Krutyńskie

1.

Kto wymyślił, żeby jechać na wakacje na wieś? – mruknął tata, kiedy samochód podskoczył na dziurawej drodze, a jemu wypadł telefon z ręki.

– Mógłbyś się choć rozejrzeć. Spójrz, jak tu zielono! – zauważyła mama, która siedziała za kierownicą.

Tili przysunęła twarz do szyby. Kiedy mama powiedziała jej, że spędzą kilka wakacyjnych dni w domku nad rzeką pod lipami, a nie w hotelu z basenem pod palmami, początkowo nie chciała jechać. Nigdy nie była na wsi. Właściwie wcale nie wiedziała, czy ma ochotę wybrać się nad Krutynię.

Aż do chwili, gdy mama wysunęła z półki starą książkę o postrzępionym grzbiecie i przekartkowała do miejsca, w którym widniała czarno-biała fotografia. Przedstawiała dziewczynkę z ojcem, pozujących w łodzi, z wiosłami opartymi na kolanach. Uśmiechali się szeroko do obiektywu, choć pogoda im najwyraźniej nie sprzyjała, bo mieli na sobie kurtki przeciwdeszczowe ze spiczastymi kapturami.

– Ta dziewczynka wybrała się na spływ Krutynią ze swoim tatą, znanym pisarzem, Wańkowiczem – powiedziała mama. – Rodzice nazywali ją Tili, tak jak my ciebie.

Tamta dziewczynka naprawdę nazywała się Marta, a prawdziwe imię Tili brzmiało Otylka. Mama Otylki dostała książkę Wańkowicza od swoich dziadków. W ich domu na Mazurach co roku w dzieciństwie spędzała wakacje. Dziadkowie pewnego słonecznego dnia zabrali ją na spływ Krutynią. Bo, jak mówili, kto nie widział Krutyni, ten nie widział Mazur. Zapamiętała tamten dzień na zawsze. Książka przez lata kurzyła się na półce i mama obiecała sobie, że teraz, na urlopie, wreszcie ją przeczyta.

– Pierwszego dnia popłynęlibyśmy z Jeziora Krutyńskiego do Rosochy, drugiego do Ukty – planowała mama. – A kiedyś, kiedyś może dopłyniemy aż do Iznoty. Z Jeziora Krutyńskiego do Iznoty to byłaby naprawdę długa wyprawa, od świtu do wieczora...

Rosocha, Ukta, Iznota. Jakie piękne nazwy! Brzmiały jakby pochodziły z baśni. A Tili uwielbiała baśnie. I we wszystkie wierzyła. Mama opowiadała z takim zachwytem o rzece i spływie, że postanowiła spróbować.

Tym sposobem Tili ruszyła wraz z rodzicami w drogę na Mazury. Wedle szacunków nawigacji mieli dotrzeć na miejsce za pół godziny.

– Wiktor, oderwiesz się kiedyś od telefonu i rozejrzysz wokół? – naciskała mama.

Tata zerknął przez okno.

– Rozglądam się. Drzewa. Drzewa. I co jeszcze? Ano tak, drzewa!

Od dłuższego czasu po obu stronach drogi rozciągały się lasy. Tili miała wrażenie, że z każdym kilometrem droga się zwęża, a drzewa tworzą coraz ciaśniejszy tunel. Liście migotały w słońcu wieloma odcieniami zieleni. W Warszawie wiosną i latem tak zielono było tylko w parku, ale nawet tam, pomiędzy pniami widać było żółto-czerwone tramwaje, które toczyły się z łoskotem po torach otaczających bramę. Tutaj miało się wrażenie, jakby nie istniało nic poza tą drogą, lasem i niebem. Mama chyba pomyślała o tym samym.

– Stare puszczańskie drzewa – powiedziała. – Jakie to do-
stojne słowo: puszcza. Brzmi tak, jakby istniało z tysiąc lat.

– Mnie się raczej kojarzy z pustkowiem – podsumował tata.

– Rosną tu rośliny, których nie ma nigdzie indziej, a nie-
które ptaki przylatują tylko tutaj – kontynuowała niezrażona
mama.

Dryyy. Pierwszy sygnał dzwonka nie zdążył nawet wy-
brzmieć, a tata już odebrał telefon.

– Taak, dzwońcie w każdej chwili – powiedział, a po jego
poważnym tonie Tili domyśliła się, że dzwoni ktoś z pracy. –
Tutaj nic ciekawego się nie dzieje.

– W każdej chwili? – spytała mama, gdy zakończył roz-
mowę. – Ty chyba nigdy nie płynąłeś kajakiem!

– Przecież wiesz, że nie płynąłem. Poza tym obiecałaś, że
to ty będziesz sterować.

Mama westchnęła i pokręciła głową. Tili nie pamiętała,
kiedy tata spędził wakacje z rodziną. Tuż przed wyjazdem na
urlop zawsze okazywało się, że nie może zostawić ważnego
projektu. I ostatecznie jechały we dwójkę. Tym razem jednak

mama zagroziła, że jeśli się wykręci, to ona nie pójdzie z nim na galę rozdania nagród za najlepsze kampanie reklamowe.

– Dobra, ale tylko jeden nocleg! – zastrzegł sobie tata.

– Dwa dni? Nad Krutynią? Przecież to za mało!

– Wiesz, ile dla mnie znaczy poświęcić te dwa dni w kalendarzu?

Mama westchnęła.

– Niech ci będzie. Ale w takim razie wyjeżdżamy z samego rana, żeby być nad rzeką jak najwcześniej i dobrze wykorzystać pierwszy dzień.

Stało na tym, że wyjadą pierwszego dnia wakacji, o szóstej rano, dzięki czemu nad rzeką będą około dziewiątej. Mama i Tili do ostatniej chwili wątpiły, czy tata dotrzyma obietnicy, bo nie wrzucił do walizki wakacyjnych ubrań, za to w wewnętrznej kieszeni umieścił laptop i słuchawki. Długo czekały w samochodzie pod domem, zanim w końcu wsiadł – w koszuli i spodniach od garnituru, jak zwykle z telefonem przy uchu.

Pogoda postanowiła im sprzyjać. Był to jeden z tych słonecznych, czerwcowych poranków, w które wydaje się, że cały świat się do nas uśmiecha.

Z samochodowego radia popłynęły dźwięki: *In the summer time when the weather is hot...* Tili nie wiedziała, kto to śpiewa, ale głos pasował do jakiegoś olbrzymiego, czarnoskórego piosenkarza.

– Możesz to ściszyć? – spytał tata. – Właśnie dostałem ważnego maila.

2.

Dąb Ernest rozprostował swoje stare gałęzie. Zapowiadał się piękny poranek, jak przystało na najdłuższy dzień w roku. Ale nie tylko z tego powodu był to dla Ernesta dzień wyjątkowy. Dąb należał do Klubu Zielonej Rzeki, więc czekało go dziś ważne zadanie. Od wieków powierzała je klubowi Czarodziejka Jezior, Bałdana. Tylko w ten jeden dzień w roku opuszczała swój podwodny pałac, by wybrać sobie spośród kajakarzy kogoś, kto pokocha Krutynię na zawsze. Przy ujściu w Iznocie czekała na swojego wybranka w łódce z listka olchowego, tkając nici pajęczne. Członkowie Klubu Zielonej Rzeki mieli towarzyszyć osobie, którą wybrała Bałdana, w wyprawie z Jeziora Krutynskiego do Iznoty. Jeśli śmiałek dotrze tam przed zachodem słońca, czarodziejka oplecie niemi jej serce i misja się powiedzie.

Słoneczne rozbłyski wpadały do Jeziora Krutynskiego niczym złote krople i wesoło migotały na jego powierzchni. Dawni ludzie wierzyli, że w niebie mieszka bogini, która co rano wylewa z dzbana słoneczny blask. Ernest nie pamiętał wprawdzie czasów, kiedy tą ziemią rządzą bogowie, ale słyszał o nich opowieści.

Drzewa kochają historie. Opowiadają je sobie przy pomocy korzeni, które sięgają dużo dalej niż korony, przecinają się ze sobą i w ten sposób przekazują wiadomości. Tak przetrwały prastare opowieści o tej krainie. Najstarsze pochodziły aż znad Jeziora Nidzkiego, od Dębu Perkuna, który miał osiemset lat. Podobno to pod nim dawni ludzie gromadzili się i modlili, by uchronił ich przed burzą.

Z zamyślenia wyrwał Ernesta wiatr, który szarpnął liśćmi. Czyżby miał spaść deszcz? Póki co, po niebie wędrowało zaledwie kilka puszystych chmurek, jednak burze w tej okolicy zwykle wybuchały gwałtownie, niczym bitwy boga niebios z bogiem wiatru. Pioruny potrafiły przepołowić nawet stare drzewa. Ernest, mimo że miał gruby pień, bał się burzy.

W cieniu konarów przemknął właśnie pierwszy tego dnia kajak. Mało kto wiedział, jak piękne jest jezioro o świcie. W pensjonatach nawet nie rozpoczęły się jeszcze śniadania. Gdyby Ernest mógł ruszyć się z miejsca i udać na spływ, zrobiłby to z samego rana. Ale miejsce dębu było zawsze tam, gdzie urósł. A Ernest rósł przy niewielkiej polanie nad Jeziorem Krutyńskim. Choć czasami zazdrościł ważkom, łabędziom i kaczkom, które mogły zobaczyć, jak piękna jest Krutynia, był dumny z tego, że należał do puszczy, zwanej kiedyś Wielką Knieją. Miał ponad sto lat i sporo do opowiadania. Jedno tylko wiedział na pewno. Ludziom wydawało się, że to oni byli tu najważniejsi, ale tylko przychodzili i odchodzili, a puszcza pozostała.

Ernest przyglądał się porannej krzątaniu. Nad jeziorem zaparkował właśnie czerwony busik z przyczepą, w której kołysały się obwiązane sznurami kajaki. Z busu wyskoczyło dwóch chłopaków. Postawili niewielki stolik pod drzewami, a następnie zaczęli zsuwać kajaki z przyczepki. Brali je we dwóch za uchwyty przy dziobie i rufie, a następnie rozkładali na polanie.

Gdzie te czasy, kiedy Krutynią spływało dziennie tylko kilkanaście łodzi? Z dawnych lat, gdy był młodym dębem, pamiętał jeszcze świst lokomotywy, dochodzący z głębi lasu.

Pociąg zatrzymywał się przed budynkiem ukrytej wśród drzew stacji. Stamtąd ruszały bryczki z bagażami, a w ślad za nimi szli podróżni z dalekich stron, którzy postanowili spędzić tu wakacje. Panie w białych sukienkach i panowie w jasnych, prążkowanych garniturach. Wszyscy obowiązkowo w kapeluszach.

Nieopodał miejsca, przy którym rósł Ernest, znajdowała się wtedy restauracja. Często do późnej nocy dochodziły stamtąd śmiechy i muzyka. Wszyscy tak dobrze się bawili, że gdyby, jak w starej legendzie, podłoga wraz z tańczącymi zapadła się pod ziemię, nikt by tego nie zauważył. To właśnie przy Murawie, bo tak nazywała się restauracja, czekały na gości łodzie, którymi płynęły do pobliskich pensjonatów.

Teraz rzeką spływały dziennie setki kolorowych kajaków. Ernest zdążył się już do tego przyzwyczaić. Czasami, kiedy słuchał pokrzykiwań turystów, przypominał sobie stare, dostojne słowo, którym kiedyś nazywano te ziemie – Galindia, czyli „na końcu świata”. Żałował, że tamten stary świat już odszedł. A jednak w tym głośnym tłumie zawsze znalazł się ktoś, kto pokochał Krutynię na zawsze. Dziś dowie się, kto to będzie.

Na korzeniu Ernesta przycupnęła Świtezianka. Pierwsza w dziejach Klubu Zielonej Rzeki ważka, która została jego prezesem. O Krutyni wiedziała wszystko. Codziennie przebywała trasę spływu na czapkach turystów jako ważka przewodniczka. Dziś nerwowo trzepotała skrzydłami. Wcale go to nie zdziwiło. Choć należał do Klubu, odkąd tylko wyrósł z żółędzia, pamiętał wielu prezesów i uczestniczył w setkach spotkań, w najdłuższy dzień w roku zawsze odczuwał treść. Czy tym razem znów się uda?

3.

Już niedaleko” – pomyślał Melchior, gdy zauważył kilka wystających z wody kikutów, porośniętych zielonymi listkami. Kiedyś myślał, że to pozostałości po pniach, które spróchniały i się ułamały, choć dziwiło go, jak to możliwe, że rosły w kilku równych rzędach. Na spotkaniach Klubu dowiedział się, że te kikuty to pozostałości filarów drewnianego mostu, który kiedyś prowadził na drugi, bardziej dziki brzeg Krutyni.

Frunął już prawie od godziny i czuł, że skrzydła zaraz mu odpadną, ale za żadne skarby nie pozwoliłby sobie na chwilę wytchnienia, przez którą mógłby się spóźnić.

Melchior był komarem.

To chyba wystarczy, żeby zrozumieć, dlaczego nie mógł się dopuścić najmniejszej wpadki.

Nad Jezioro Krutyńskie miał spory kawałek. Mieszkał w rezerwacie Zakręt. Wychował się na tamtejszych mokradłach, w miejscu strasznym i pięknym. Rosły tam bujne kępy wysokich traw, a między nimi – płytko wczepione w ziemię sosny i brzozy. Ich pnie wydawały się tak wątle, że silny człowiek potrafiłby je połamać. Tylko że żaden człowiek nie odważyłby się zanurzyć stopy w trzęsawisku. Mogło w jednej chwili wessać go w swoje mętne, bulgoczące czeluści. Ludzie szli więc tylko wyznaczoną ścieżką, wzdłuż której leżały wyrwane przez wichor korzenie, budzące respekt swym podobieństwem do mamutów i zubrów.

W rezerwacie pielęgnowało się pamięć o wszystkich zjawach i stworach, które kiedyś zamieszkiwały puszcę.

Podobno gdzieś żyła jeszcze babojędza. Szeptano, że miała domek na kurzej łapce, którym mogła wyruszyć, dokąd tylko chciała. Niektórzy byli gotowi przysiąc, że wciąż grasuje ostatni kłobuk, tajemniczy stwór przypominający smoka. Mówiło się też, że w głębinach pewnego jeziora przetrwał straszny demon, którego imienia nawet tutaj obawiano się wymawiać.

Ludzie już nie wierzyli w kłobuki ani babojędze. Melchior też miewał wątpliwości, czy wciąż istnieją. Jednak nocą, kiedy w rezerwacie latały nietoperze, wydawało się, że zło czyha na każdym kroku. Chciał o tym opowiedzieć na spotkaniach klubu, ale bał się, że inni go wyśmieją. Teraz jednak zaczął tego żałować. Może siły zła będą chciały przeszkodzić w dzisiejszej wyprawie?

Melchior wiedział, jak łatwo poddać się złu. Sam kiedyś należał do chmary komarów, której hersztem był Czort. Latali nad moczarami i atakowali turystów. Właściwie to tylko ich straszili, bo od prawdziwego atakowania były przecież komarzyce. Myślał, że komar powinien należeć do chmary. Aż pewnego dnia, przelatując nad ścieżką rezerwatu, zobaczył dwa przytulone do siebie drzewa, dąb i sosnę. Usłyszał, jak dąb szepnął ciepłym basem:

– Moja kochana...

Od turystów, którzy odczytali na głos tekst na tabliczce, dowiedział się, że to Zakochana Para. Sosna była starsza od dębu o sto pięćdziesiąt lat. Na tabliczce napisano, że drzewa spłotyły się w walce o promienie słoneczne. Gdzie tam! Oni po prostu się kochali.

Piękne słowa. Miłość, przyjaźń. Dzięki Zakochanej Parze Melchior zrozumiał, że w tak tajemniczych i mrocznych miejscach jak Zakręt można się zaprzyjaźnić, a nawet zakochać. Wtedy obiecał sobie, że jeśli ktoś okaże mu ciepłe uczucia, opuści chmarę na zawsze. Jednak na jego widok rozległo się tylko głośnie „Komar!” i plaśnięcie rękę. Nie dość, że wszyscy go nienawidzili, to jeszcze chcieli go zabić.

Pewnego wieczoru zobaczył na bagnach niezwykle roślinę. Świeciła z oddali jak jakiś magiczny kwiat. Na jej czułkach błyszczały czerwone krople, które kusząco pachniały. Kiedy usiadł na brzegu kwiatu, poczuł, że jego nogi utknęły w czymś lepkiem. Jak mógł się dać zwieść? Przecież wiadomo, że na komara zasadza się zawsze pułapki. Próbował się wyswobodzić, a roślina jakby to wyczuła. Czułki zaczęły go oplatać, a lepka ciecz wokół gęstniała. Nie mógł ruszyć nogami, a jego skrzydła drętwiały.

– Ratunkuuu – wołał cichutko. Bo przecież kto chciałby uratować komara?

– Trzymaj się, pomogę ci – usłyszał obok jakiś stanowczy, kobiecy głos.

Ktoś złapał go za tylne nogi i zaczął wyciągać z lepkiej mazi. Roślina nie dawała za wygraną. Melchior czuł, że ciecz go pochłania. Była kwaśna. Odpychał się ze wszystkich sił, a tajemniczy pomocnica też się nie poddawała.

– Jeszcze trochę, jeszcze wytrzymaj– zawołała wybawicielka. – Juuuuuuuz!

Oboje padli na trawę. Z trudem otworzył oczy. Zobaczył nad sobą piękną szmaragdową istotę z ogromnymi oczami. To była ważka.

Spis treści

Jezioro Krutyńskie	4
Krutyń	34
Zielony Lasek	50
Rosocha	61
Ukta	83
Nowy Most	106
Iznota	121